

Matylda urodziła się w latach pięćdziesiątych w Pa-
słęku, małym, pięknym miasteczku na Pojezierzu
Warmińsko-Mazurskim. Pasłek znajduje się nieopodal
Olsztyna, ponoć na szlaku Bursztynowej Komnaty.

Do dwunastego roku życia wychowywała się beztrząs-
ko na mazurskiej wsi. Była dzieckiem inteligentnym i pobu-
dliwym.

W całym swoim dziecięcym życiu, odkąd pamięta, ob-
racała się przeważnie w męskim towarzystwie. Za kompan-
ów miała kolegów, a koleżanki zawsze były na drugim
planie. Z kolegami uwielbiała się bawić i rozrabiać, nigdy
nie była dzieckiem strachu. Właziła na drzewa, kradła tru-
skawki z ogródków działkowych i jabłka z ogrodu księdza.
Chodziła też na grzyby z ojcem, ale najczęściej bawiła się
z bratem, bo to on był starszy i rodzice niekiedy zosta-
wiali Matyldę pod jego opieką, gdy wychodzili do kina lub
mieli coś do załatwienia.

Do dzisiaj pamięta drogę, którą uciekała z przedszkola
do mamy do pracy, trudno jej było bowiem podporządko-
wać się zasadom panującym w przedszkolu. Matylda nie
lubiła przedszkolanki, która była starszą panią, tuż przed
emeryturą.

Jako nastolatka nie lubiła również zasad obowiązują-
cych w szkole.

Któregoś popołudnia, już jako dorastająca dziewczyna,
Matylda dowiedziała się, że jej dziadkiem ze strony oj-
ca jest stary szlachcic. Był on właścicielem majątku Mo-
kowo koło Włocławka, gdzie na świat przyszedł właśnie

ojciec Matyldy. Przyszywany dziadek Matyldy kupił swojemu nieślubnemu synowi gospodarstwo rolne na Pomorzu, aby chociaż w ten sposób uspokoić swoje sumienie.

Ta informacja zburzyła najbliższe marzenia Matyldy i jej rodziny. Do dnia otrzymania tej wiadomości stary szlachcic był oficjalnie ojcem chrzestnym jej ojca.

Dopiero gdy zmarła babka Matyldy, ta wiadomość mogła zostać ujawniona, no i tym sposobem znalazł się nowy dziadek.

Okazało się, że nie miał on potomstwa z prawego łoża, ponieważ jego żona, szlachcianka z Dorendów, nie mogła mieć własnych dzieci. Dziadek zadbał o swojego nieślubnego potomka, ale dopiero wtedy, kiedy zmarła babka – taka ponoć była między nimi umowa, że wcześniej ta tajemnica nie może ujrzeć światła dziennego. I tak się stało, że ojciec Matyldy jako dorosły człowiek dowiedział się o zaistniałej sytuacji, a dzieci zyskały nowego dziadka.

Nadszedł czas i trzeba było pożegnać koleżanki i kolegów ze względu na zmianę miejsca zamieszkania, bo rodzice zdecydowali się jednak na przyjęcie tego prezentu od dziadka.

Matylda nie była z tego faktu zadowolona, musiała bowiem zmieniać szkołę, koleżanki i kolegów, ulubionych nauczycieli. W ogóle dla dorastającego dziecka taka informacja była dramatyczna.

Matylda chodziła już do nowej tysiąclatki – szkoła była piękna. Odpowiadał jej też styl nauczania, chociaż nieraz dostała – kablem od czajnika – ciągi, którymi kierowniczką szkoły obdarowywała w pokoju nauczycielskim rozbrykane dzieci, żeby przywołać je do porządku. Przyznaje jednak, że było fajnie i sympatycznie, pomimo niejednego lania.

Wieś, w której dziadek kupił ojcu gospodarstwo, była mała; bardziej kolokwialnie mówiąc, była to dziura

zabita deskami. Do szkoły Matylda musiała dreptać codziennie około kilometra w jedną stronę – bez względu na pogodę. Oczywiście dramatem był dla niej pierwszy dzień w nowej szkole. Nic jej się nie podobało, zwłaszcza kierownik, ale klasa przyjęła ją sympatycznie. Matylda wyznała, że na całe szczęście.

Nie tylko do szkoły Matylda miała zastrzeżenia, gospodarstwo również nie przypadło jej do gustu. Budynki były stare, rodzice ciągle coś remontowali, a nowy dziadek rozjeżdżał się taksówkami i trwonil na lewo i prawo horrendalne pieniądze.

Uważała, że zdeorganizował im ustabilizowane życie rodzinne, pomimo że w tym czasie obie dziewczynki, to znaczy Matylda i jej o pięć lat młodsza siostra Marynia, były przez nowego dziadka rozpieszczane; w tamtych czasach miały wszystko, czego tylko zapragnęły.

Brat Matyldy, o pięć lat starszy od niej, przebywał w tym czasie w internacie Technikum Ogrodniczego w Pruszcze Gdańskim. Dyrektorem tego technikum był z kolei ich stryj.

Tak na marginesie, brat Matyldy nie skończył tego technikum. Porzucił naukę w IV klasie i stwierdził, że jego niepowodzenia powiązane są ze stryjem.

Ponoć stryj lał go pasem w pokoju nauczycielskim za nieposłuszeństwo, psując mu reputację przy innych nauczycielach. Najprawdopodobniej nie mógł tego stryjowi wybaczyć i porzucając szkołę, obraził się na niego nieodwracalnie. Wtedy, podejrzewam, nie zdawał sobie sprawy z tego, że stryjowi krzywdy nie wyrządził, ale jednak obraził się na cały świat.

Brat się tłumaczył, że stryj żądał, aby on, jako jego krewny, był bardziej posłuszny od innych uczniów i dwa razy mądrzejszy. Jak widać bratu zabrakło cierpliwości i postąpił, jak postąpił, a ja wierzę, że mówił prawdę.

Do dnia dzisiejszego nie zmobilizował się na tyle, żeby ukończyć tę szkołę, chociaż pozostał mu tylko rok – i już w dorosłym życiu bardzo słono za swą krnąbrność zapłacił.

Matylda natomiast potrafiła się cieszyć tylko z rzeczy materialnych – w domu pojawił się nowy sprzęt: telewizor, lodówka, nowe radio, nowe meble, a był to rok 1965, kiedy na kilkanaście gospodarstw jedno posiadało tego typu urządzenia. Miała również swoje radio tranzystorowe, kurtki z laminatu, ortaliony i kozaki ze skaju za kolano, a także cienkie pończochy i kasę, gdy potrzebowała. Na każdą potańcówkę miała nową sukienkę.

W tym czasie, mając takie dobra, można było szpanować. Chałupa była stara, ale były w niej i stare srebra, i złota biżuteria po babce dziedzicze, i piękne stare meble, a remont dobry gospodarz zaczynał od obory i stajni.

Matylda pamięta też bardziej przyziemne rzeczy, na przykład jak nowy dziadek uczył ją posługiwania się dużym barometrem, a raczej odczytywania zapisów dotyczących pogody.

Pojęła tę sprawę w mig, a dziadek bardzo się cieszył z takiej sprytnej wnuczki. Matylda, pomimo że lubiła prowadzić z dorosłymi rozmowy, miała zawadiacką naturę.

Zawsze kiedy dziadek z ojcem odwirowywali miód, potrafiła tuż przed ich nosem nabrać całą garść z lejka maszyny i szybko zginać im z oczu. Potem wracała, cała oblepiona tym miodem, bo przecież nie wszystko dało się oblizać.

Matylda pamięta, jak notorycznie kłamała w piękne, słoneczne letnie dni, kiedy umówiła się z koleżankami na poziomki, a dziadek nakazywał pomoc przy przekładaniu torfu.

Opowiadała wtedy niestworzone rzeczy, że musi iść do kościoła na próbę, bo jako panienka, Matylda śpiewała

w chórze kościelnym, chociaż słoń jej nadepnął na ucho. Łgała jednak w żywe oczy, żeby tylko wymigać się od pracy.

A w chórze oczywiście śpiewała tak zwanym drugim głosem; do dzisiaj zna niektóre pieśni kościelne po łacinie.

Jak daleko sięga pamięcią, kiedy dzień był słoneczny, wszyscy bez wyjątku musieli iść przekładać torf, niezależnie od dnia tygodnia. Nawet i w niedzielę nieraz trzeba było pójść i szybko wykonać pracę, kiedy tylko świeciło słońce. Torf musiał schnąć intensywnie i trzeba go było szybko zwieźć do szopki, specjalnie wybudowanej do trzymania opału na zimę.

W polu pracowali ludzie wynajęci, bo z rodziny nikt do pracy fizycznej się nie nadawał; brat Matyldy przebywał w internacie, a Mati, bo tak na nią w skrócie wołano, kontynuowała naukę w liceum ogólnokształcącym i przebywała na stacji – dzięki Bogu, bo nie wyobrażała sobie wtedy życia w gospodarstwie.

Gdy już uczyła się w liceum, przyjeżdżała do domu tylko na soboty i niedziele, więc żadne prace jej nie dotyczyły, przynajmniej rodzice jej do żadnych zajęć nie angażowali.

Teraz Matylda mogłaby tam zamieszkać, ale wtedy – stanowczo nie. Panuje tam śmiertelna cisza i przerażający spokój, wszędzie jest daleko, ale obecnie wioska się Matyldzie podoba.

Ojciec również nie kwalifikował się do pracy na roli, bo szkodziło mu słońce, mama musiała przygotowywać posiłki, a siostra Matyldy była na to za młoda.

Na roli zatem tak naprawdę nie miał kto pracować.

Po kilku latach mordegi na gospodarstwie rodzice zdecydowali, że najlepiej będzie dla całej rodziny, jeśli sprzedadzą to nieszczęsne gospodarstwo, razem z lasem, łąkami torfowymi i pastwiskowymi, włącznie z jeziorkiem nad Notecią, i zmieniają miejsce zamieszkania.

W dużej mierze zależało to od tego, czy mama Matyldy znajdzie gdzieś dobrą pracę z mieszkaniem, ponieważ ojciec był na rencie i w ogóle nie mógł pracować.

Jak zaplanowali, tak też zrobili, a dzieci musiały się podporządkować. Niezadowolony był wyłącznie dziadek szlachcic, który niebawem zmarł.

W nowym miejscu zamieszkania Matylda z biegiem czasu poznała swojego przyszłego męża. Jedyne chłopak, który na potańcówce nie pił alkoholu, wybrał właśnie ją do tańca. Chwalił się na którymś z kolei spotkaniu, że ma szlacheckie pochodzenie, ale niewiele o nim wiedział. Mati też niewiele mówiła na temat swojego pochodzenia, bo w tak młodym wieku takie rzeczy były nieistotne.

Po krótkim czasie okazało się, że to właśnie On został jej wybrankiem na resztę życia.

Oczywiście Mati nie skończyła liceum w terminie, co już należy uznać za tradycję rodzinną. Ukończyła kursy i podjęła pracę biurową, a wkrótce potem wzięła ślub z owym wspaniałym mężczyzną.

Z małżeństwa tego urodził się syn Aleksander, który był oczkiem w głowie nie tylko rodziców, lecz także dziadków. Wszyscy go rozpieszczali. Mały Aleksander był piękny i rozpuszczony. Młode małżeństwo już wtedy uznało, że najlepiej będzie, jeśli będą mieszkać samodzielnie, bo w domu zrobiło się troszeczkę za ciasno.

Jak powiedzieli, tak też zrobili.

Z ośmiomiesięcznym dzieckiem, za namową rodziny męża, przeprowadzili się na śląską wieś.

Mimo wielkich problemów znaleźli opiekunkę do małego Aleksandra. Jak się potem dowiedzieli, żadna Ślązaczka nie chciała pilnować dziecka „Polaczków”.

Wszystko było dobrze, dopóki dzieckiem opiekowała się góralka, emerytowana nauczycielka. Była ona świadkiem Jehowy, co wtedy nie miało większego znaczenia.

Któregoś ranka Matylda odeszła z kwitkiem od drzwi niani, córka opiekunki poinformowała ją bowiem o nagłej śmierci swej matki. Zmarła ona rano, na godzinę przed przyjściem Aleksa, na wylew. Podczas przygotowywania śniadania po prostu się przewróciła i już nie wstała.

Matylda wzięła urlop i znów poszukiwała opiekunki dla syna. Ciężko było ludziom z innych regionów Polski wtopić się w kulturę Ślązaków.

Już w pracy miała problemy integracyjne, a teraz doszły kłopoty z opiekunką. Matylda nigdy nie przywiązywała wagi do regionów Polski, ale tutaj, na śląskiej wsi, zmuszano ją do takiego myślenia. Prawie na każdym kroku wypominano im, że są Polakami.

Po pewnym czasie znalazła i uprosiła starszą panią, która pomimo tego, że była Ślązaczką, zdecydowała się zaopiekować ich dzieckiem.

Małego Aleksandra polubili wszyscy w nowej rodzinie. Starsze małżeństwo uczyło go hartu życiowego i samodzielności. Mały Aleksander mówił do swoich opiekunów „muti” i „papa”, tak, jak sobie ci państwo życzyli. Tak go pokochali, że nawet nie zabraniali mu wchodzić do psiej budy, a lekarz nie nadążał przepisywać leków na odczuwanie, ponieważ mały ciągle był pogryziony przez pchły. Matylda myślała, że zwariuje, ale syn z biegiem czasu uodpornił się na niewygodę życia, po prostu stał się bardziej zahartowany.

Do dzisiaj cała rodzina Matyldy bardzo serdecznie wspomina ten okres.

W podopolskiej wsi panował taki zwyczaj, że kiosk ruchu był otwierany tylko wtedy, gdy przyjeżdżały autobusy, ale Aleksander zapragnął to zmienić. Zamknął panią kioskarke na antabę w kiosku, tak że nie mogła wyjść przez dłuższy czas. Wszyscy się z niej śmiali i bardzo dziękowali dziecku. Tego dnia kioskarke przekonała się, co faktycznie

znaczy praca zawodowa. Siedziała przymusowo chyba ze cztery godziny, gdyż wstydziła się poprosić o pomoc. Matylda miała wrażenie, że dzieciaki Ślązaków nie rozrabiają ani w szkole, ani poza nią.

Mały Aleksander wtapiał się w śląską kulturę bardzo ochoczo.

Uczył się namiętnie gwary śląskiej i bardzo mu się to podobało.

Mówił „ciepnę” zamiast „rzuce”, „kafej” zamiast „kawa”, no i „muti” i „papa”. Mały Aleks przechodził ostrą integrację, ponieważ nauczycielka uczyła go wyłącznie po niemiecku, a mały był pojętny. Szybko się uczył, pięknie mówił, modlił się i śpiewał, oczywiście po niemiecku, no a po zmianie opiekunów – także po śląsku.

Potem, gdy Aleks poszedł do pierwszej klasy, już w Opolu, Matylda oczywiście musiała oduczyć go gwary, ponieważ myliły mu się końcówki wyrazów. Było to jednak strasznie trudne.

Ona sama długo nie mogła przekonać się do gwary i do mentalności swoich koleżanek w pracy. Może właśnie dlatego była dobrą pracownicą, że rzadko rozumiała, co się do niej mówi, i uważała, że w pracy lepiej jest nie rozmawiać, bo wtedy można wydajniej pracować.

Przyznaje, że trochę czasu upłynęło, zanim zaczęła rozumieć śląską gwarę. Na pewno niejednym nieporozumieniem zapłaciła za to, że była chadziąką, jak o niej mówiono w biurze.

Matylda dostawała szału, kiedy nie mogła wytłumaczyć swoim koleżankom, że one też są Polkami. One się po prostu wypierały polskości, twardo stojąc przy swoim zdaniu, że Ślązaczka to Ślązaczka, a Polka to Polka.

Zanim Matylda zrozumiała tę swoistą etniczność, nie tylko upłynęło wiele czasu, lecz także minęło go już na tyle dużo, aby pokochać i śląską wieś, i Ślązaków.